

Kronika tygodniowa.

Rok 1915 jest rokiem niezwykłym, uroczysciej też, niż po inne lata, obchodziłem imieniny mojej pocziwej Weronisi, przypadające na dzień 9. lipca. Miałem zaś do tego ważny powód, jako iż człek rodzaju męskiego nie jest nigdy pewnym, czy go nie powołają do landszturmu, czego następstwem mogłoby być wysłanie na linię bojową, a tam kule nie przebierają, kto więc zaręczy, czy na rok przyszedł będę mógł mej starej w tym dniu osobiście pogratulować.

Jestem wprawdzie nieco podeszły w leciech, ale i takich w armii potrzeba, może się więc bardzo łatwo przydarzyć, że kronikarskie pióro lada dzień zmienię na karabin, ewentualnie na miotłę lub kozik do obierania ziemniaków (tak zwany *Landsturm ohne Waffen!*).

Już w przeddzień uroczystości postarałem się o podwójną tęczę na niebie, wieczorem zaś wziąłem udział w zwykłej akademii, naturalnie „pod Obrazem”, po ukończeniu której wentylowaliśmy bieżącą politykę, każdy, rzecz prosta, z innej platformy na nią się zapatrując, nic też dziwnego, że ani się spostrzeżliśmy, jak zegar na wieży ratuszowej wydzwoił godzinę jedenastą. Jest to dla Krakowa „hora canonica”, na rozkaz bowiem władzy wysychają o tej porze zdroje krakowskiego, okocimskiego, żywieckiego i pilzneńskiego nektaru, zamykają się też podwoje wszelakich lokali. Ze zaś pod gołem niebem i o suchem gardle nikt dysputować w Krakowie nie labi, bez rozkazu wyższego rozeszliśmy się w spokoju, każdy w swoją stronę, nie czekając nawet na tramwaj, który rozpoczyna kursować dopiero o godzinie szóstej rano.

W domu wyjątkowo awantury z tego powodu nie miałem, jutrzejsza bowiem solenizantka spoczywała spokojnie w objęciach Morfeusza i musiała śnić coś bardzo przyjemnego, gdyż gadała ciągle przez sen. Taka to już jest babska natura, że żadnej ani w dzień, ani w nocy gęba się nie zamyka, a choć ciągiem nią rusza, nigdy jej zawiasy szczękowe nie zabolą, aczkolwiek się ich wcale nie smaruje.

I ja miałem tej nocy sny bardzo przyjemne, zdawało mi się, że jestem jeszcze kawalerem, że staram się o piękną Weronisję i dostaję od niej kosza, a od jej ojca nogą niżej pleców na pożegnanie.

Ale, że to sen mara, a Bóg wiara, obudziwszy się rano, przekonałem się, iż tak nie jest, jak mi się w nocy po głowie roilo. Zbudziły mnie zaś tony muzyki, poprzedniego bowiem dnia zamówiłem całą gromadę mlaskotów ze Zwierzyńca, którzy z prawdziwą maestrią urzneli wspaniałą serenadę, że aż koty miauczały na dachu i psy wyły na całej ulicy.

Wobec tego trzeba było wstać. Daliśmy sobie buzi (nie z mlaskotami, ale ja i Weronisia), przy czym złożyłem solenizantce z serca płynące życzenia i to w tak czułych wyrazach, że pocziwa babina aż się spłakała i ze wzruszenia zapomniła dać grajkom na piwo, z czego oni byli ogromnie niezadowoleni.

Zakończyłem gratulacje znanym wierszem jednego z naszych znakomitych poetów:

Hej! Skąd dążysz,
Dokąd dążysz,
Chyba cały świat okrążysz,
Nie znajdziesz, aby się
Gdzie kochali się,
Jak my się!

Jeszcze raz buzi, poczem wręczyłem jej parę pan-tofli, które wziąłem na kredyt u znajomego kupca.

— Darujesz, kochanie — zakończyłem — że prezent tak skromny, aczkolwiek bardzo praktyczny, sama jednak wiesz, iż teraz ciężkie czasy i trudno bardzo związać koniec z końcem...

— Oj, to prawda! — westchnęła, zawiązując tasemkę swej szaty porannej, trzeba zaś wiedzieć, że matka natura obdarzyła ją bardzo bujnymi wdziękami.

Kto tam potem winszował, nie wiem, w każdym razie domyślałem się, że w pierwszej linii córki, potem służąca Kasia, życząca „fortony i koruny niebieskiej”, zjawiła się także i stróżka, ale nie z gratulacjami, lecz upominając się, iż wczoraj, wracając późno do domu, zapewne przez pomyłkę, zamiast niklowej pięciocentówki, dałem jej blaszany guzik. Przekonywałem ją, że się myli, nie chciała ustąpić. Ostatecznie guzik jej zostawiłem, obiecując, że zato drugim razem otrzyma całą szóstkę...

Ponieważ uroczystość świętej Weroniki, (jeśli się nie mylę, panny) przypadła na piątek, więc na dzień podwójnego postu, wyzerka w domu nie była wcale lepszą, niż zazwyczaj, wobec czego trzeba było pójść do miasta, by cośkolwiek przetrącić.

Ale tu czekała człowieka nowa nieprzyjemność. Staję przy bufecie i proszę o kielich gorzały, pan Focking rusza ramionami i powiada:

— Nie wolno!
— Jakto nie wolno? — wołam z wściekłością — odkądże to zakazali pić wódkę?
— Nie, nie zakazali, ale trzeba siedzieć!
— Gdzie? Może w kryminale?
— Nie! Wystarczy na sali, przy stoliku! Pan dobrodziej zamówi sobie coś ciepłego do zjedzenia, to poda się i wódeczkę! Taki befel wyszedł z magistratu. O, wisi tam na szafie!

Z początku jakoś mi się to w głowie nie chciało pomieścić, dlaczego wydano właściwie takie zarządzenie, ponieważ jednak jestem zawsze posłuszny rozkazom zwierzchności bez względu na to, czy ona jest duchowną, czy świecką, siadłem, aczkolwiek wódeczność pijał człowiek zawsze na stojąco, bo to lepiej smakuje i alkohol wówczas idzie raczej w nogi, a nie do głowy.

Zrobiono więc przewrót w życiu codziennym przeciętnego, pocziwego człowieka. Kupcy zaklinają się, za przestrzegając będą postanowień i, jeśli władza zakaże, gotowi nawet przestać wódkę szynkować.

I kto wie, czy nie nastaną dla nas takie paskudne czasy, że wódeczność będzie można dostać tylko w aptece, jako lekarstwo. Tak dzieje się podobno w którymś ze stanów Ameryki północnej, jeśli się nie mylę w Teksas, a może i gdzieindziej. Ponieważ zaś alkohol jest bardzo dobrem antidotum przeciw ukąszeniu grzechotnika, każdy z tamtejszych amatorów wódeczności musi się dać najpierw ugryźć temu gadowi, a potem może już spokojnie upominać się o kieliszek whisky. Przemysłny aptekarz hoduje w tym celu specjalnie grzechotniki i ma każdej chwili pod ręką kilka oswojonych okazów, które wypożycza interesantom za niewielką opłatą. Przy-nosi mu to podobno bardzo piękne dochody.

Jeśli by i u nas miały nastać takie same stosunki, wartoby już dziś postarać się o parę grzechotników, zamówień na nie chyba nie braknie, wątpię nawet, czy po jednym wystarczy dla każdego z większych naszych lokali śniadankowych.

Wyobrażam sobie, jak to malowniczo wyglądałaby następująca scena:

Sala. Na sali, przy stoliku siedzi gość i woła:
— Mieciu! Proszę kieliszek starki!
— A czy pana dobrodzieja ukąsił grzechotnik?
— Nie!
— W takim razie nie mogę podać. Według rozporządzenia magistratu możemy sprzedawać wódkę tylko osobom, ugryzionym przez grzechotnika...

— To przynieś grzechotnika! Niech mnie ugryzie!
— Bardzo żałuję, ale nie mogę służyć. Wczoraj pożyczyl sobie pan radca i jeszcze go nie odesłał!

Wartoby się także zastanowić nad tem, czy w danym wypadku, gdyby grzechotnika pod ręką nie było, nie mogła go n. p. zastąpić teściowa, która także nieraz jest bardzo jadowita.

Ograniczono więc picie wódki, pozwolono natomiast pić wodę przez cały dzień, to jest od szóstej rano aż do dziewiątej wieczór, poczem każdy ma mieć przez całą noc szczelnie zakręcony kurek wodociągowy, w przeciwnym razie narażony byłby na odpowiedzialność i dotkliwą karę.

Ponieważ woda jest teraz takim drogocennym płynem, wodą, a nie szampanem wychyliłem zdrowie Weronisi solenizantki, która dzięki mnie stała się osobistością w Krakowie bardzo popularną. Wystarczy powiedzieć, że *ex re* jej imienin z różnych stron na me ręce nadeszły dla niej życzenia, gratulowali demokraci i stańczycy, brodaci i bez bród, łysi i owłosieni — słowem w mem domowym święcie wziął udział pośrednio cały Kraków.

Wobec tego nosiłem się też z myślą, czyby na jej cześć nie urządzić dnia kwiatka, niestety, przekonałem się, że wszystkie niedziele i święta, aż do końca roku są już zajęte, a w dni powszednie naród pieniędzy przy sobie nie nosi.

Zresztą imieniny przeszły spokojnie, dlatego też nie będę składał dokładniejszego sprawozdania z ich przebiegu. Każdy z Czytelników, mający żonę, ma tę przyjemność także raz w roku, chyba, że żonie na imię Marya, gdyż w tym wypadku może imieninować bodaj że dwa razy na miesiąc. Jest to dobre, ale tylko wtedy, gdy czasy są lepsze, a nie tak paskudne, jak obecnie. Wystarczy powiedzieć, że dziś za cytrynę trzeba płacić po piętnaście centów, więc lada kto nie może sobie pozwolić na *katzenjammer*, na który działa bardzo dobrze lemoniada.

Na dzień 10 lipca przypada uroczystość siedmiu Braci Spiących. Są to patronowie naszej sławetnej Rady miejskiej, której członkowie schodzą się do sali obrad w pałacu Wielopolskich na poobiednią drzemkę. Niestety, Rada miejska nie funkcjonuje,

wobec czego i solenizanci tego roku święta patronalnego nie obchodzili.

Tyle, co do spraw moich domowych, o których lubię świat informować. Teraz wypada zahaczyć nieco o politykę, zwłaszcza, że zabieram się do tego od dłuższego już czasu, zawsze jednak brakuje mi miejsca, bym się mógł należycie wywnętrzyć.

Sympatyą moją cieszy się w pierwszej linii król włoski, który może sobie (a nawet musi) śpiewać historyczną aryę: „Jam małżonek Heleny!...”, ale na taką nutę, jak ona mu zagra, a jest to niewiasta tak energiczna, że moja Weronisia może się schować przed nią w mysia dziurę. Kazała wojnę wypowiedzieć, mąż był posłuszny, kazała mu jechać na front, i to zrobił, teraz każe zwyciężać, ale tego on już nie potrafi... Powiada: „Nie da rady”.

Nawet d'Annunzio nie mógł go do tego zapalić, choć podobno napisał taką samą „Mobilizację w Bronowicach” jak ongiś nasz pan Bieder. Król się zawiązał i ani rusz dać się przekonać, wobec czego ma dwie wojny, to jest jedną z Austrią, a drugą ze swą rodzoną żoną. Z tego widzą Szanowni Czytelnicy, że i królowie, aczkolwiek boscy pomazańcy, mają też nieraz domowe kłopoty, nie powinno się im więc nigdy zazdrościć.

Z nieprzyjacielem zewnętrznym łatwiej zaś dać sobie radę, bo się posyła wojsko, a samemu odbiera się tylko sprawozdanie, wojna domowa wymaga zaś osobistego udziału, co nie zawsze jest bardzo przyjemnem.

Czytając wiadomość, że równocześnie i rzeczpospolita San Marino wypowiedziała Austrii wojnę, oinal, że nie pęknałem ze śmiechu, przyznając zupełną słusność tytułowi, jakim opatrzone ten telegram. Odnosił się on do owej żaby, która to nogę do kucia podnosiła. Czytelnicy znają chyba na tyle geografję, iż wiedzą, że jest to państewko, które ze względu na obszar trudno nawet znaleźć na mapie. Rozporządza ono siłą zbrojną w liczbie dziewięciuset pięćdziesięciu chłopów z trzydziestu dziewięciu oficerami. Z tego kontyngentu uchwalono posłać Włochom na pomoc dwieście sztuk wyborowych, resztę przezornie zatrzymano, by nie być bez obrony, gdyby politycy z San Marino zaplatali się w wojnę z jakim innem mocarstwem.

Po ukończeniu wojny, o ile panowie konsulowie wojowniczej republiki będą dopuszczeni do wzięcia osobistego udziału w pokojowych pertraktacjach, które odbędą się w jednej ze stolic europejskich, mogą potem zrobić doskonały interes i pokazywać się publiczności za opłatą wstępu w jakim muzeum osobliwości.

Z racji wybuchu wojny między Włochami i Austrią opowiadają sobie bardzo ciekawą polityczną anekdotę, mającą wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Jeden z europejskich władców, rozmawiając z ambasadorem włoskim, akredytowanym przy jego dworze, miał się wyrazić mniej więcej w te słowa:

— Hm! Ja byłbym zdania, że rząd pański, ekscellencyo, powinien się zgodzić na warunki, jakie wam daje Austria! Bez wyciągania miecza z pochwy zyskacie, czego pragniecie, a trzeba pamiętać, iż wynik wojny bywa często wątpliwy!...

— Nie, najjaśniejszy panie, to dla nas zbyt mało! My chcemy jeszcze więcej, a to już obiecało nam trójporozumienie...

— Tak! Skórę na baranie, gdy ten baran jeszcze żywy i skubie najspokojniej trawę... A ja wam mówię! Chcieliśmy wam wyprostować cholewę buta (półwysep włoski ma, jak wiadomo, taki kształt), skoro się na to nie zgadzacie, uważajcie dobrze, gdyż może wam z niego zostać tylko sama przyszwia, a resztę dyabli wezmą...

Oby te słowa ostatnie się jak najprędzej ziściły, tego z serca życzę pocziwym Talianom, dzięki którym niedawno skonfiskował mi pan prokurator kawalek kroniki.

Ale ja się na niego nie gniewam, bo wiem, że to nie wolno, Włochów zaś nigdy nie lubiłem i nie lubię i teraz, gdyż 1) śpiewają fałszywie i mają rozstrojone katarynki, 2) salami weroneckie zamiast z mięsa ośłów robią ze szczurów, 3) wino ich „Chianti” jest zbyt kwaśne, 4) w polityce okazali się ordynarnymi bandytami i godnymi następcami Rinalda.

Chcąc im wobec tego okazać swą pogardę, przechodzę nad nimi do porządku dziennego, zwłaszcza, że i tak zbyt wiele im zaszczytu zrobiłem, pisząc o nich, jakby o jakich porządnym ludziach.

Już kończyłem kronikę, gdy wpadł mi w ręce artykuł „Kuryerka”, donoszący o rezygnacji dra Lea ze stanowiska prezydenta miasta Krakowa. Zastanawiało się już nad tą kwestyą prezydium wraz z radą przyboczną i powzięto odpowiednie uchwały, zaczęto też rozglądać się za następcą tronu.